

I. 152. 204

ZAJMUJĄCE CZYTANKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY  
SERJA II. Nr. 9.

JADWIGA WARŃKÓWNA

# BAJKI

JAŚKOWA BAJKA  
W NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ  
STRACH

Bajka, choć jest złudnej treści,  
Dużo prawdy w sobie mieści;  
Choć w fantazji mgłę spowita —  
To — nauka w niej ukryta...

WARSZAWA ————— 1908.

NAKŁADEM i DRUKIEM MICHAŁA ARCTA

I. 152.704



1956 D 626/48





## JAŚKOWA BAJKA.

### I.

O, jakże tam chłodno, świeżo, miło i pachnąco było w tym cienistym borze!

Drzewa najróżnorodniejsze: dęby, buki, klony, brzozy, jawory, cisnęły się jedne obok drugich, roztańczając młodocianą zieloność najrozmaitszych odcieni. A u stóp drzew wspaniałych tuliła się dzia-twa leśna: krzaki leszczyny, kaliny, ożyny, głogu, babiego zęba, oplecione ciemnym bluszczem i dzi-kim chmielem. W niektórych miejscach, gdzie było trochę przestronniej, mięciuchna trawa, ozdobiona krasą różnobarwnego kwiecia, tworzyła wspaniałą kobierzec, a tak puszysty, że nogi w nim tonąć mogły.

W lesie panowała na pozór cisza, ale to tylko na pozór! bo ileż tam życia mieściło się wśród ga-tęzi drzew, wśród gęstwiny krzaków, a nawet wśród ździebeł trawy i drobnego mchu. Ileż tam tysięcy

najrozmaitszych istot znajdowało stałą siedzibę i dostannie pożywienie, począwszy od wysmukłego jelenia, a skończywszy na pracowitej mrówce.

Zwierzęta leśne nie robią jednak wiele hałasu, a więc w pięknym, ciemnym borze panowała cisza, przerywana tylko raz po raz kukaniem kukutki, lub monotonnym kuciem czarnego dzięcioła.

## II.

Do tego wspaniałego lasu pośpieszało wążką ścieżką troje dzieci wiejskich: dziesięcioletni Piotrek, ciekawy, śmiały, zwinny, dla którego nigdy nie było zbyt wysokiej gałęzi i który też — dzięki temu — znał wszystkie ptaki i ich gniazda, jak swoją własną kieszeń. Na pochwałę Piotrusia trzeba jednak przyznać, że nigdy nie wybierał gniazd ptasich, chciał tylko poznać ich budowę i dowiedzieć się, jakie który ptak jajka niesie.

Z Piotrkiem wybrała się do lasu jego sąsiadka, ośmioletnia Marysia, wesola, jasnowłosa dziewczeczka, a za niemi podążył Jasiek, syn owczarza, rówieśnik Piotrusia, którego to we wsi „bajazem” zwano, bo komponował — tak na poczekaniu — różne osobliwe bajki i opowiadał je dzieciom, a nieraz nawet i starszym.

— Co też to temu chłopakowi po głowie się roi! — powtarzał często Józef, młody owczarek. — Żebym to ja umiał takie różne historje wysnuwać! Ale nieraz, chodząc za owcami, myślę, myślę, że aż mię łeb zaboli, a nie wymyślić nie potrafię.



— Może z niego będzie nauczyciel, albo nawet i ksiądz — dodawał kolega Józefa, Bartek. — Żebym ja był owczarzem, tobym chłopaka posłał do szkoły do miasta, ale stary Szymon skąpy i żal mu pewnie grosza na naukę.

Szymon nie był jednak skąpy, radował się tą dziwną zdolnością syna i często z panem nauczycielem rozmawiał o Jaśku i radził go się, co z chłopcem zrobić w przyszłości. †

Nauczyciel, człowiek zacny i światły, mówił, że teraz może się uczyć jeszcze u niego, a co dalej będzie, to się zobaczy. Jasiek więc chodził do szkoły we wsi, tam czytał, pisał i rachował, a często wieczorem, gdy się zebrali starsi gospodarze w chacie owczarza, to kazali Jaśkowi — tak sobie, dla zabawy — bajki opowiadać. Jasiek nie dał się dwa razy prosić, prawił różne dziwy, wywołując śmiech i zdumienie. Najbardziej jednak lubił chłopak opowiadać swoje bajki innym dzieciom i w nich też miał słuchaczy najgorliwszych i najuważniejszych.

Ta więc trójka szczęśliwa, wesola, zarumieniona, pośpieszyła pędem do lasu. Ale zaledwie dzieci wpadły w gęstwinę, każde pobiegło w inną stronę: Piotrek za gniazdami, Marysia za kwiatkami, a Jasiek powędrował nad strumień i usiadł na murawie. Słuchał cichego szmeru srebrzystej wody, słuchał śpiewu ptaków i ćwirkania koników polnych; rozglądał się wokoło, patrzył na fruujące motyle, brzęczące osy i bąki, a słuchając tych głosów przyrody i patrząc na jej cuda, tworzył w swej fantazji nowe, piękne obrazy, które wraz z leciuchnym wiatru powiewem przenikały całą jego istotę, a w jasnej głowie Jaśka obierały sobie stałe siedlisko,

III.

Z dobrą godzinę siedział tam Jasiiek; nie nudziło mu się jednak wcale i byłby sobie chętnie dumał choćby do wieczora, ale usłyszał zdaleka, od krańców lasu, wesołe: „hop, hop!” Marysi. ✧

Za ciekim głosem Marysi rozległo się trochę grubsze: „hop, hop!” Piotrka.

Jasiek zerwał się z miejsca, pobiegł w stronę, skąd słyhać było nawoływanie i wkrótce złączył się z towarzyszem i towarzyszką, którzy siedzieli tuż nad brzegiem lasu, wyczekując na Janka.

— No, Janku, jesteś nareszcie! gdzieżeś to bywał? — spytała Marysia.

— Szkoda, że cię ze mną nie było — rzekł Piotrek. — Znalazłem gniazdo kosa i żolny. Żolna uwiła je sobie wysoko, wysoko na cienkiej gałązeczce; gałązeczka się chwiała, myślałem już, że dam niechcący susa, jak wiewiórka-tanecznicza i fiknę kozła na murawę, ale — chwała Bogu — tak źle się nie stało. Jajeczek było w gnieździe pięć, a wszystkie śliczne, jak malowane.

— A ja tyle kwiatów nazbierałam: smołki, goździki, dzwonki, przyłaszczki; uwiję z nich wianek i zawieszę na figurze świętego Jana, twego patrona.

— No, a ty, Janku, cożeś robił? W której stronie lasu byłeś? — zapytał znowu Piotrek.

— Pewnie siedział cicho, dumał wedle zwyczaju i nowe bajki wysnuwał. Powiedz, powiedz nam bajkę, tę ostatnią, która ci dzisiaj, teraz, przysłała do głowy...



Jasiek uśmiechnął się; oczy jego zapłonęły dziwnym blaskiem, rad był, że go chce ktoś słuchać, a zwłaszcza Marysia, która go tak słuchać i podziwiać umiała, i usiadłszy obok dzieci, rozpoczął w te słowa:

5513

IV.



— Było to dzisiaj, wczoraj, może przed tygodniem, może przed rokiem, dość — że było. Szedłem sobie około wielkiego łąnu żyta, które już kłosić się zaczynało.

— O, to chyba nie w tym roku — przerwała Marysia — bo mamy dopiero początek maja, a tatulo mówi zawsze, że: „święta Zofija kłosi wywija”, a do świętej Zofji jeszcze blisko dwa tygodnie. Wiem o tym dobrze, bo to imieniny tej panienki ze dworu, która mię uczy robić szydełkiem.

— Kiedy chcesz bajki, to nie przerywaj — rzekł rezolutny Piotrek, a zwróciwszy się do Janka, dodał:

— No, mów dalej, bo pewnie to będą znowu różne osobliwości...

Wtedy Jasiek uśmiechnął się raz jeszcze i powiedział, co następuje:

— Żyto zaczynało się już kłosić. Na cienkich, zielonych źdźbłach, niewiadomo skąd, znalazły się naraz jakby piórka, jakby zwinięte chorągiewki, które kiwały na mnie i mówiły wyraźnie:

— A co? lubisz chleb? To my ci damy chleba!

Nade drogą leżał wielki głaz, usiadłem więc na nim i zacząłem także kiwać na kłosa, odpowiadając im z uśmiechem:

— Lubię, lubię chleb, zwłaszcza razowy, świeży, gorący i gdy go moja matuś upiecze.

Wtym zaszeleściło zboże, i w brózdzie pomiędzy dwoma zagonami ukazały się istne dziwy. Jak jakie małe wojsko wymaszerowały wróble, idąc w rzędzie i podskakując równo, wiele równiej, niż my w szkole na gimnastyce. Za wróblami szły krety, także w pięknym ordynku; było ich może ze czterdzieści. Za kretami fruwały niziutko trznadłe i śliczne, modre sikory...

Otworzyłem oczy, jak mogłem najszerszej i patrzałem, oj patrzałem, aby nie z tego widoku nie stracić. Wtym za sikorami wtoczył się śliczny, mały pojazd, jakiego niema ani u naszego dziedzica, ani nawet u hrabiego w Dąbrówce. Była to bardzo misterna bryczuszka, upleciona z samych bławatów, a zaprzężona w dwanaście koników polnych. Na koźle siedział szklarzyk z przezroczystymi skrzydełkami, trzymając ceniუსieńki bacik, pewnie utkany z pajęczyny... Spojrzałem na dziwnego stangreta, lecz wnet przestałem na niego patrzeć, bo oczy moje spoczęły na ślicznej pani, siedzącej w bryczuszcze. Była ona tylko tak duża, jak mój palec, ale tak cudna, tak pięknie ubrana, że wzroku od niej oderwać nie mogłem.

Sukienkę miała ponsową, utkaną pewnie z płatków polnego maku, na głowie koronę z kropel rosy, które błyszczały w słońcu kolorami tęczy, a w ręce trzymała parasolkę z pięknej, białej stokrotki.

Koniki polne pomykały rażno, bryczuszka posuwała się prędko, a za bryczuszką w brózdzie ujrzałem znowu całe bataljony kretów, ptaków, motyli i świerszczów. Nareszcie cały orszak wjechał na



drogę i zatrzymał się przed kamieniem, na którym siedziałem.

Patrzałem na wszystko zdziwiony, nie mówiąc i słowa. Milczenie przerwała piękna, maleńka pani i zwracając się do mnie, rzekła cieniutkim głosem:

— Wielkoludzie, czy długo tu jeszcze siedzieć będziesz?

— Niedługo, szanowna pani, — kłaniając się nisko, odpowiedziałem śmiało, bo, rozumie się, że takiego maleństwa nie potrzebowałem się obawiać.

— Nie jestem żadną szanowną panią, ale Pszeniczka, najzabieglivszą królową zbóż.

— Jakto, królową zbóż? Czyż zboża mają swoją królowę?

Zaśmiała się cieniutkim głosem i rzekła:

— Taki jesteś wielki i jeszcze tego nie wiesz. Czy myślisz, że pola bez mojej opieki i bez pracy mojej przybocznej drużyny wydawałyby tak obfite plony?

Patrzałem na nią ze zdziwieniem, nie nie odpowiadając.

— Oj, ludzie, ludzie, jacyście wy zabawni — zapiszczała maleńka królowa. — Wy ziemię zorze- cie, zasiejecie i myślicie, żeście się już dosyć na- pracowali i że tylko już wam zbierać należy owoc waszej pracy... Ach, gdybyście wiedzieli, ile to się trzeba natroszczyć, nabiedować, aby to zboże wzesz- ło, wyrosło, dojrzało! Na szczęście dla was, ja się o to wszystko staram... Nie wierzysz, potrząsas głową? a więc słuchaj, i to, co usłyszysz, możesz innym powtórzyć...

\* \* \*

V.

„Moje królestwo ma wielu nieprzyjaciół. Susza, zbyt obfite deszcze, grady, czynią w nim wielkie spustoszenia, a gdy się do tego doda: śnieć, szarańczę, liszki i robactwo wszelkiego rodzaju, to jest się od czego bronić i oganiać. Mam ja w moim państwie poddostatkim nieprzyjaciół nie tylko na ziemi, ale i w ziemi. Widziałeś już kiedy, mój olbrzymku, te białe pędraki, które się wylęgają z jajek chrabąszcza? Leży ich w ziemi jak mrowia, a ledwie roślinka kielek puści, już się one do niej zabierają. I zjadłyby żarłoki pewnie wszystkie zboże, gdyby nie moje wojsko podziemne, moje poczciwe krety.

Widzisz, my tu gadu, gadu, a one się już wszystkie w ziemię zaryły i oczyszczają podziemia.

Z gąsienicami i różnym robactwem to znowu ptaki wojują. Przez całą wiosnę służą mi pilnie, ale za to gdy zboże dojrzeje, wynagradzam je isticie po królewsku i nie skąpię słodkiego ziarna. Wolę przecież im dać, niż tym rabusiom, chomikom, którym to „bez pracy chce się kołaczy”.

Gdy zboże dojrzeje, przychodzą nareszcie żęncy i kosiarze, a możeby nawet nie przyszli, gdybym przepiórcze nie kazała ich zawołać. Żną złote i srebrne kłosy, wiążą, znoszą do stodół i nie myślą nawet o tym, ilu to maleńkim istotom zawdzięczają one swój chleb powszedni...

Po sprzęcie rozpoczynają się siewy. Nowa praca! nowy trud! Rolnicy, skoro zorali, zasiali, zabierają się do spoczynku na całą późną jesień, na całą



długą zimę. Ale królowa Pszeniczka nigdy spocząć nie może. Broni młodej oziminy od sarn i zajęcy, kłopoce się, gdy mróz wielki nadejdzie i wyciąga błagalnie drobne rączki do śniegowej chmury, aby ciepłym, puchowym płaszczem okryła ukochane zagony. I czarny, ciężki obłok lituje się zwykle nade mną, wysłuchuje moich próśb! Śnieg spadnie, ziemię okryje, utuli ją w objęciu i do snu na całą zimę ukołysze.

— A ty gdzie mieszkasz w zimie, najjaśniejsza królowo Pszeniczko? — ośmieliłem się zapytać.

— Ja mieszkam z kretami, w moim podziemnym państwie. W jesieni wszystkie prawie ptaki, pozostające w mojej służbie, uwalniam z obowiązku; odlatują więc za granicę. Zostają wprawdzie wróble, kuropatwy, ale i tym pozwalam próżnować. Mają one same z sobą dosyć kłopotu, aby nie umrzeć z głodu, nie zginąć od strzelby, lub nie popaść w sidła. Tam w podziemiach mam pałac, zbudowany z różnego ziarna: ściany są z grochu, podłoga z żyta, a sufity z pszenicy. Dach pokrywa kwitnąca gryka, ślicznie więc pachnie około mego domu, a okna są zrobione z żółtego jak bursztyn świerzopu. Właśnie tutaj, pod tym kamieniem, jest wejście do mego pałacu. Już słońce skłania się do spoczynku, czas więc i mnie wracać do siebie.

Zerwałem się z kamienia i zobaczyłem pod nim z jednego boku dość duży otwór.

— Tak, tak, tędy droga — rzekła Pszeniczka w zamyśleniu. — Bądź zdrow, chłopcze, i pamiętaj o tym, że nie sami ludzie pracują i że ich praca nie jest najcięższą. Człowiek odpoczywa w niedzielę, święta, a dla tych tysięcy drobnych istot niema

nigdy wytechnienia, chyba — gdy zasną na zimę. Pamiętaj więc o tym i nie bądź nigdy leniwy, a gdy cię próżniactwo napadnie, pomyśl o pałacach kre-tów, mrówek, o misternych gniazdkach ptaków, o pracy pszczół... nie zapomnij także o królowej Pszeniczce, która ci życzy wszystkiego dobrego”.

## VI.

To powiedziawszy, królowa wyciągnęła rączki do słońca, a ostatnie jego promienie oświeciły od góry do dołu drobną jej postać i w tych świetla-nych blaskach z całym swoim pojazdem zniknęła mi z oczu, rozplynęła się jak mgła, czy też w zie-mię zapadła. Wtedy cała jej skrzydlata drużyna rozpierchła się w jednej chwili i tylko słyszałem, jak zdaleka wabiły się przepiórki, ciegotały kuro-patwy, cirkowały wróble i sikory. Koło mnie zaś świerszczyki polne ustawiły się rzędem i zagrały na swoich skrzypeczkach tak cudną kołysankę, że gdybyście byli ją słyszeli, to bylibyście zasnęli na twardym kamieniu, jak w łóżku pod puchową pie-rzyną. ~

— A ty zasnąłeś? — zapytała ze śmiechem Ma-rysia. — Oj, Janku, Janku, setny z ciebie sowi-zdrzał! Pan nauczyciel opowiadał nam w przeszłym tygodniu o pracy różnych stworzeń, o pożytku z kre-tów i ptaków, a ów mądrała wszystko pięknie spa-miętał, dołożył o Pszeniczce i całą bajkę skompo-nował.

— Słuchaj, „bajarzy”, zaprowadź nas do tego kamienia, gdzie widziałeś Pszeniczkę, chciałbym się



z temi jej ptaszkami zapoznać — dorzucił z filuterną miną Piotrek.

W tej samej chwili chrabąszcz spadł z drzewa i uderzył Piotrusia w sam nos.

— A tuś mi, szkodniku! — wykrzyknął Piotrek. — Nie zjadły cię widać krety Pszeniczki, gdy byłeś jeszcze pędrakiem! — I zerwawszy się z miejsca, pobiegł za chrabąszczem, który z brzękiem wzbil się w górę.

— Tak, tak, ludzie nie powinni próżnować, powiedziała twoja Pszeniczka... A my co robimy? Baki zbijamy w lesie, choć w domu roboty nie braknie... Chodźmy już, Janku, do domu, chodźmy, bo ta królowa Pszeniczka miała słusność. Nie bądźmy próżniakami...

I jasnowłosa parka, jak spłoszone gołębie, zerwała się z murawy, a schwyciwszy się za ręce, pobiegła drożyną do wioski. Piotrek ze swoim chrabąszczem dogonił ich wkrótce; zbadał on już schwytanego owada na wszystkie boki; obejrzał jego podwójne skrzydełka, nogi, macki i oczy.

. . . . .

## VII.


A las zielony stał cicho, jak przedtym, w całej swej piękności i majestacie. Wierzchołki najstarszych dębów wznosiły się wysoko po nad wszystkie inne drzewa, spojrzawszy więc na drogę, zobaczyły biegnącą po ciepłym piasku trójkę i zaszumiały najcieńszymi gałazkami, jak gdyby chciały powiedzieć,



— Co też to będzie z tego Piotrka, lubiącego badać ptaki i chrabąszcze, z tej złotowłosej dziewczynki, w której tak łatwo rozbudzić poczucie obowiązku, a zwłaszcza z owego Jaska-bajarza, który jest tak wrażliwy na wszystko, co dobre, piękne i sprawiedliwe? Co też to z nich będzie?







## W NOC ŚWIĘTOJAŃSKĄ.

---

Minął gorący dzień czerwcowy, słońce zaszło, ukazały się gwiazdy na niebie, a noc srebrna — ze swoją ciszą — rozpostarła panowanie na ziemi, aby całą przyrodę do snu utulić. Niełatwa to jednak była sprawa. Las nie spał i spać nie myślał.

— Któżby też zasnął przed północą? — mówiła jodła, poruszając leciuchno gałązkami. — Dzisiaj noc świętojańska, paproć kwitnie, a kto kwiat jej zobaczy, znajdzie szczęście na całe życie. Nie potrzeba mi się będzie już wtedy obawiać okrutnego drwala z ostrą siekierą! Nie pójdę ani na maszt, ani na belkę, ani na ogień. Słyszałam o tym od mojej prababki, którą sędziwa starość powaliła w zeszłym roku na ziemię. Przed śmiercią wyjawiała mi tę tajemnicę.

— Ja zdrzemnęłam się trochę przed wieczorem, kiedy rosa padała — wyrzekła brzoza — więc teraz wcale mi się spać nie chce i z wielką ciekawością oczekiwać będę północy...

Inne drzewa, jak graby, dęby, buki, były tego samego zdania; wszystkie chciały czuwać, a obawiając się, aby ich sen nie zmorzył, rozmawiały głośno, szeleszcząc gałęziami.

Nie tak szczerze i otwarte były krzaki leszczyzny; szeptały one cichutko, tylko pomiędzy sobą, lecz o czym — tego inne drzewa nie mogły dosłyszeć. Podслуchała je jednak kalina i powiedziała do obok rosnącej jeżyny:

— One myślą, że lepiej zobaczą kwiat paproci, bo niższe od dębu, grabu i jodły, i dlatego szepcą z takim zadowoleniem. Ale przecież my chyba jeszcze lepiej będziemy widziały, a zwłaszcza ty, jeżynko. Tyle około ciebie rośnie prześlicznych paproci; pamiętaj, podglądaj dobrze.

— Ho, ho, moja droga — odparła jeżyna — ty myślisz, że to tak łatwo! My, to pysznimy się naszymi kwiatami i umieszczamy je na samych wierzchołkach gałązek, ale paprocie to się z nimi ukrywają, jakby z jakim grzechem lub wstydem. Egoistki, egoistki z nich wielkie! Nie chcą, aby drudzy byli szczęśliwi.

— Bardzo to nieładnie, a nawet brzydtko.

W ten sposób gwarzył sobie nieomal cały las.

Tymczasem gwiazdy przesuwały się na niebie coraz dalej i dalej, i wreszcie ukazały zbliżającą się północ.

Naraz księżyc, ukryty dotąd za białym obłoczkiem, oblał niebieskawym światłem las cały, a mianowicie obszerną polankę, około której rosły nasze znajome: jodła, brzoza, leszczyna, kalina i jeżyna. Za smugami światła jakaś woń upajająca, a nieznana przeniknęła powietrze, i z trzech ścieżek



leśnych, wiodących na polankę, zaczęły tłumnie wybiegać istoty lekkie jak wietrzyk, a cudne jak kwiaty.

Były to boginki leśne. Zebrały się tutaj, aby w noc świętojańską — w chwili kwitnienia paproci zatańczyć swój korowód.

Sukienki miały z długich traw, przetykanych kwiatami białych lilii wodnych; na nogach tak świecące zielone trzewiczki, jakby zrobione ze skrzydełek muszek hiszpańskich; w rękach powiewne szale z jakiejś przezroczystej tkaniny, podobnej do błękitnych skrzydełek ważki, a na głowach błyszczące korony ze świętojańskich robaczków.

— Co tu się dzieje? Co za jedne te panny? — wyrzekła ze strachem drżąca osika, tuląc się do stojącej obok brzozy.

— Cyt! cyt! nie nie mów, a lepiej patrz — odpowiedziała brzoza. — Nie widziałyśmy ich jeszcze, pierwszy raz czuwamy w noc świętojańską.

Tymczasem boginki leśne zajęły całą polankę i rozpoczęły tańce. Łączyły się w koło: to rozpały w kilkanaście mniejszych kółek, to stawały w dwa szeregi naprzeciwko, zbliżając się i odbiegając od siebie, to wreszcie tworząc wielkiego węża, przebiegały dolinkę małemi, lekkimi nóżkami, za ledwie dotykając ziemi. W tańcu tym korony ze świętojańskich robaczków błyszczały jak djamentowe, a szale, któremi powiewały ponad głowami, wydawały się zwojami leciuchnych obłoczków, oświetlonych promieniem wieczornej zorzy.

Widok był prześliczny! To też wszystkie drzewa i krzewy w lesie stały jakby w niemym

podziwieniu i ani nawet jednym nie poruszyły li-  
steczkiem.

Zachwyt zwiększył się jeszcze, gdy boginki na-  
stępującą pieśń śpiewać zaczęły:

Piękne lasy, śliczne lasy,  
Pełne woni, pełne krasy!  
Niema, jak rusałką być,  
Pośród waszych czarów żyć.

Drzewa cicho wciąż szeleszcza,  
Liście się z wietrzykiem pieszczą,  
Wśród gałązek ptasząt rój,  
A w dolinie szemrze zdroj.

Liczne kwiecie tam się wdzięczy  
Różnobarwnym blaskiem tęczy  
I rozsiewa miłą woń,  
Zagładając w srebrną toń.

Ale za nic wszystkie kwiaty,  
I ich wonie, barw szkarłaty,  
Gdy przez naszych zaklęć moc  
Kwitnie paproć w cichą noc.

W świętojańskiej cichej nocy  
Kwitnie paproć o północy,  
A ów kwiat, rusałek dar,  
Sieje wokół wdzięk i czar.

Sieje wokół czarów wiele,  
A więc radość i wesele,  
Więc nucimy wdzięczny śpiew,  
By paproci uczić krzew.



Piękne lasy, śliczne lasy,  
Pełne woni, pełne krasy,  
Niema, jak rusałką być,  
Pośród waszych czarów żyć!

Las słyszał już dużo śpiewu; dawał on rok rocznie schronienie kilkunastu znakomitym śpiewakom, ale takiego śpiewu jeszcze nigdy na tej polance nie słyszał. Był on tak tęskny, słodki, że nawet dąb stuletni wzruszył się do głębi i rzekł:

— Jestem bardzo szczęśliwy, że takiej chwili dożyłem...

Jak długo boginki leśne wyprawiały swe płaśy—nie wiadomo. Musiało to jednak trwać kilka godzin, bo gdy ukończyły ostatni taniec, który był najpiękniejszy ze wszystkich i wedle objaśnienia starego puhacza nazywał się: „Korowodem panien leśnych”, już na wschodzie świtać zaczęło.

Na widok różanej jutrzeńki, boginki zniknęły w okamgnieniu; rozbiegły się jak stado spłoszonego ptactwa w ścieżynkach leśnych, a gdzie stamtąd — to już nie wiadomo.

Polanka nagle opustoszała; cisza ją zaległa.

Pierwsza brzoza powróciła do przytomności umysłu.

— Co to jest?... już dzień? — rzekła do osiki. — Noc świętojańska mineła i nie widziałam kwiatu paproci? O, ja nieszczęśliwa! Wszystkiemu winne są te boginie ze złocistemi wieńcami na growach! Ale któżby się mógł być oprzeć tylu wdziękom i czarom!

— O, ja dotąd jeszcze drzę ze wzruszenia!

Co mi tam kwiecie paproci. Byłam przez kilka godzin szczęśliwą i to mi wystarcza—odparła osika.

Inne drzewa nie rozumowały w ten sposób.

Jodła nie mogła sobie darować, że patrzyła cały czas na tańczące boginki, a nie na kwitnące tuż u jej stóp paprocie i chciała ze złości wszystkich kłuć swojemi szpilkami.

Dąb tylko coś mruczał, że już o szczęście nie dba, że już dużo w swym życiu widział, że się dosyć nażył na świecie...

Krzaki leszczyzny szeptały znowu coś do siebie, lecz tym razem kalina nie mogła ich sekretów dosłyszeć.

Jednym słowem, choć cały las czuwał, nikt kwiatu paproci nie zobaczył.

. . . . .

Zapewne nie z tej przyczyny, ale niewesoło się jakoś naszym krzewom i drzewom działo w ciągu roku: dąb — piorun roztrzaskał, jodła ścięta, popłynęła daleko do morza, najładniejsze gałązki brzozy poszły na miotły, owoce leszczyzny — jeszcze niedojrzałe — poobrywali pastuchy, a korale kaliny, ledwie trochę zarumienione, nawłokła na nitkę mała Kasia, gdy przyszła zbierać grzyby w lesie.

Ta sama Kasia zabrała się także do owoców jeżyny, ale obrażona jeżyna nasrożyła się wielce, ukłuła raz i drugi Kasię w rękę, potem zaczęła się o jej sukienkę i Kasia z rozdartą spódniczką wróciła do domu. Dobrze przynajmniej, że na pocięgę miała korale kaliny.



Biedne drzewa i krzewy! żal mi ich bardzo!  
Ale same sobie winny. Czemu nie przypatrzyły się  
kwieciciu paproci? Może byłyby szczęśliwsze...

Dziwić się jednak tak bardzo drzewom nie mo-  
żemy, bo ludzie z całym swoim rozumem robią nie  
lepiej: nie korzystają ze sposobności pozyskania  
szczęścia, które często mogliby znaleźć obok siebie,  
i szukają go daleko w blaskach zwodniczych.





## STRACH. ✕

---

W pewnej małej mieścinie żył ubogi kuśnierz Maciej. Miał on dwanaścioro dzieci, a że wyżywić taką gromadę sprawa nie łatwa, to też bieda, jak to mówią, oknami i drzwiami cisnęła się bezustannie do ubożuchnej chaty, chociaż Maciej pracował bardzo pilnie, a żona jego była także zapobiegliwą i porządną kobietą.

W zimie to jeszcze było jako-tako; ten i ów kupił kożuch i raz po raz trochę grosza wpływało do zawsze pustej kaletki pana Macieja; ale gdy na wiosnę ciepłe słońko zaświeciło, albo też latem dobrze przypiekło, ktoby tam myślał o kożuchu?

Bieda więc z siostrą Nędzą, opromieniona jasnym słońca blaskiem, przybywała na letnie mieszkanie do Maciejów i opuszczała ich dopiero późną jesienią, obiecując swoją wizytę od czasu do czasu i w zimie.

Pewnej wiosny, w końcu maja, skłopotany Maciej zawołał najstarszego syna, Walka i odezwał się do niego w te słowa:



— Matka od tygodnia chora, a tu bieda coraz większa; zarobku niema żadnego... Kuśnierstwo — to marne rzemiosło; nie chcę, abyś ze mną szył kożuchy i skazany był na ustawiczną nędzę. W miasteczku nie znajdziesz łatwo innego zajęcia, idź więc w świat szeroki, szukaj szczęścia, bądź zawsze uczciwy i pilny, a może jeszcze kiedy twym rodzicom dopomożesz...

Walek ścisnął ojcu nogi, chorą matkę pocałował w rękę i nazajutrz rano z błogosławieństwem rodzicielskim i maleńkim węzełkiem w ręku wybrał się na wędrownkę.

Przy pożegnaniu spłakała się serdecznie matka i włożyła do węzełka ostatni kawałek chleba, ojciec wcisnął mu do ręki jedyne, jakie posiadał, pieniądze; Walek z dobrą miną wyruszył w drogę, spodziewając się napewno, że w krótkim czasie coś dobrego go spotka.

Szedł jeden dzień i drugi, potym jeden tydzień i drugi, małe zapasy wyczerpały się zupełnie, a on zajęcia nie znalazł.

Nie był jednak bardzo wybredny i byłby chętnie zgodził się gdzie do służby, lub przystał do jakiego majstra na naukę, ale nieznanego chłopca nikt przyjąć nie chciał i biedny Walek nieomal z rozpaczą myślał o tym, że pewnie będzie musiał z niczym powrócić do domu i nic dla chorej matki nie zarobi.

Razu jednego, idąc gościńcem, przemyśliwał właśnie nad swoim smutnym losem, gdy wtym ujrzął zdaleka piękne góry, a na jednej z nich warowny zamek.

— O, w tym zamku pewnie jaki bogaty pan mieszka—powiedział do siebie Walek—może mi tam się uda znaleźć służbę.

I jakaś dziwna otucha wstąpiła do duszy chłopca; mimo głodu i zmęczenia szedł dalej różnym krokiem. W kilka godzin przybył nad rzeczkę, a tuż za mostem spostrzegł wśród drzew maleńką oberżę, dalej zaś—po lewej ręce—ciągnęła się wioska i dwór widniał zdala, a na wzgórzu świeciły się ściany wielkiego zamczyska.

Walek przeszedł mostek i wtedy z karczmy doleciały go wesołe śpiewy, śmiech i głośne rozmowy.

— Wejść do karczmy — pomyślał sobie — to może coś bliższego się dowiem o właścicielu tego dworu i tego wielkiego zamku...

Drzwi do karczmy stały otworem. Było w niej dużo zgromadzonych ludzi, zwyczajnie jak przy niedzieli, a zwinna karczmarka z dużym dzbanem w ręku uwijała się pomiędzy gośćmi i nalewała do szklanek piwo.

Gdy Walek stanął w progu, jeden młody parobczak silnym i dźwięcznym głosem zaczął śpiewać następującą piosenkę:

„Na wysokiej jednej górze  
Stary, wielki zamek stał,  
A w nim, jak mawiali ludzie,  
Strach siedlisko swoje miał!

Ledwie zgaśnie słońko złote  
I nadejdzie czarna noc,  
Duch już w zamku się pojawia,  
Bierze zamek w swoją moc.



Po komnatach słychać jęki,  
Słychać hałas, świst i ruch...  
Swą obecność, swą potęgę  
Tak oznajmia ów zły duch.

Całą nockę w zamku straszy  
I dopiero kiedy świt,  
Duch gdzieś znika i w komnatach  
Znowu cisza, znowu cyt!

Nikt nie mieszkał w owym zamku,  
Bo każdy się ducha bał;  
A więc pusty stary zamek  
Na wysokiej górze stał.

A człek każdy, wielki, mały,  
Wiedział, że tam mieszka strach,  
Więc obchodził—choć o milę—  
Ów zaklętej mocy gmach”.

— Wojtek, Wojtek, co też ty wyśpiewujesz —  
zawołała karczmarka. — Zobacysz, że cię co nastra-  
szy, gdy będziesz wracał do domu.

— Twoją piosenkę możnaby i do naszego zam-  
czyska zastosować — odrzekł, śmiejąc się, wysoki,  
barczysty kowalczyk. Toć przecież wiadomo, że  
i tutaj straszy i dlatego zamek stoi pustkami. Kto  
cię nauczył tej piosenki? a możesz ty ją sam ułożyć?

— Ale gdzie tam! Nauczyłem się jej jeszcze  
od mego nieboszczyka dziadka. Lubił on ją śpie-  
wać i opowiadać o różnych strachach. O naszym  
zameczysku różne też wiedział rzeczy... Pamiętam  
doskonale, że choć mi włosy ze strachu stawały nie-  
raz na głowie, lubiłem jednak słuchać tych opo-

wieści... Podobno o samej północy zjawia się w wielkiej sali zamczyska jakaś postać, obchodzi wszystkie kąty, brzęczy łańcuchami, a w całym zamku tak coś huczy, jak gdyby w czasie burzy.▲

— I teraz to samo mówią—powiedział stangret Antoni—wszyscy się zamku boją, tylko młody dziedzic w strachy nie wierzy...

Rozmowa o zamczysku i o duchach, które się w nim pokazują, stała się ogólną, każdy z czymś się odezwał, a stary Szymon tak straszne opowiadał rzeczy, że zabobonna karczmarka wołała co chwila:

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Nie gadajcie już o tym zamczysku, czyż już o czym innym nie możecie rozmawiać? Jeszcze nas co nastraszy!▲

— O zamczysku mówicie? — zapytał wódz Filip, stawając nagle w progu. — A i ja wam coś o nim powiem. Nasz młody dziedzic oznajmił mi przed chwilą, że w żadne strachy nie wierzy i że dużo pieniędzy da temu, kto się odważy nocować w zamku. Chce on podobno go wyporządzić i zamieszkać w nim, skoro się ożeni, ale każdy się tak zamku boi, że i o malarza będzie trudno.▲

— Co, w zamczysku nocować? — wtrąciła znowu karczmarka -- to chyba szukać umyślnie licha. Wiadomo przecież, że tam kusi. Niejeden śmiałek już tam życie postradał, pamiętam ja to dobrze.

— I ja pamiętam — dodał stary Szymon. — Będzie temu z lat dwadzieścia, banda cyganów chciała nocować w zamczysku i wszyscy o północy uciekli. Przed ośmiu laty pewien oryl, który udawał wielkiego zucha, wybrał się na noc do zamku, aby poznać owego stracha.▲ Zapoznał się z nim



tak dobrze, że dostał zapalenia mózgu i w kilka dni umarł.

Mowa starego Szymona wielkie zrobiła wrażenie na obecnych i niejeden z parobków, choć miał wielką ochotę zarobić przez jedną noc obiecane pieniądze, nie byłby się jednak zdecydował za żadne skarby w świecie pójść przenocować w zamku.

Walek siedział sobie cicho na ławie pod oknem i od wejścia do karczmy słuchał wciąż całej rozmowy bardzo uważnie. Wszyscy obecni tak byli sobą i strachami zajęci, że nikt na obcego chłopca uwagi nie zwrócił.

Kiedy się trochę w karczmie uciszyło, Walek wstał z ławki, podszedł nieśmiało do włodarza i powiedział:

— Jeżeli dziedzic nic nie będzie miał przeciwko temu, to ja pójdę zanocować w zamczysku. Mam czyste sumienie; strachów się nie boję, a szukam pracy i zarobku. Gdy spełnię dziedzica życzenie, to może potym przyjmie mnie do służby.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na chłopca z ciekawością. Już włodarz miał coś odpowiedzieć, ale wygadana karczmarka nie dała mu przyjść do słowa i trzepała jak na pytlu:

— A skąd się tu wzięłeś, chłopcze? Widać z innych stron jesteś, że nie wiesz, co to strach w zamczysku! Jeżeli masz matkę, to na jej imię cię zaklinam, porzuć tę myśl niedorzeczną. Mówię ci, nie chodź do zamku, bo życiem to przypłacisz!

Stanąwszy przed Walkiem i giestykułując rękami, byłaby jeszcze z godzinę miała co mówić, ale włodarz wstał z ławy, kiwnął na Walka i razem z nim wyszedł z karczmy.

— Co to za chłopak? — pytano dokoła. — Skąd on się tu wziął?

Lecz nikt nie umiał na to odpowiedzieć.

— Czy on naprawdę na noc pójdzie do zamku?

— Polecę do dworu, polecę coprędzej, przeskodzę, nie pozwolę — trzepała znowu karczmarka i choć zawsze rada swoim gościom, dzisiaj byłaby ich wszystkich wyprawiła jaknajspieszniej.

Powoli też karczma zaczęła się opróżniać, a wreszcie nie było już nikogo oprócz karczmarki, która czekała też tej chwili z upragnieniem, aby pobiec do dworu i dowiedzieć się, czy ów nieznajomy podróżny pójdzie na noc do zamczyska.

Tymczasem władarz prowadził Walka do pana. Po drodze Filip rozmawiał z chłopcem, a dowiedziawszy się, że idzie w świat szukać zarobku, bo w domu bieda, ulitował się nad chłopcem i zaczął mu odradzać, aby nie chodził zapoznawać się ze strachem.

Pieniądze miały jednak dla Walka wielką wartość. Myślał on sobie:

— Sprowadzę do matki doktora, kupię jej potrzebne leki i niezawodnie wyzdrowieje. Czego się bać! Strachów niema na świecie.

Dziedzic tego majątku, człowiek młody, wesoły, odważny, byłby się już wybrał sam oddawna na noc do zamku, ale nie mógł tego zrobić ze względu na bardzo słabowitą matkę, która wiecznie drżała o swego jedynaka i takie jego junactwo byłaby mogła życiem przypłacić.

Dowiedziawszy się o postanowieniu Walka, ucieszył się bardzo, obiecał mu wobec władarza piętnaście



rubli, a następnie zapytał, co chce z sobą zabrać do zamku.

— Drzewa na ogień, bo podobno są tam wielkie kominy, chleba, kiełbasy wędzonej i piwa — odpowiedział Walek.

Pan kazał to wszystko przygotować na małym, ręcznym wózku, a widząc, że Walek jest strasznie obdarty, kazał mu przynieść ubranie swego młodszego brata. Walek wystroił się i wyglądał jak panicz. Gdy wieczór się zbliżył, odprowadził go dziediec aż za podwórze i dodawał odwagi, upewniając chłopca, że w zamku z pewnością strachów niema, tylko takie smalone duby plotą ludzie.

Walek, rozstawszy się z panem, ciągnął dalej wózek i nie bał się wcale. Myślał tylko o swojej matce, o piętnastu rublach, które dla niej zarobi i tak był w swoich myślach pogrążony, że nie spostrzegł wcale karczmarki, która zabiegła mu drogę i zaklinała temi słowy:

— Chłopcze, jeśli ci życie miłe, jeśli chcesz jeszcze teraz matkę oglądać, nie chodź do zamku, nie chodź!

Chłopiec jednak trwał w postanowieniu, i podziękowawszy karczmarce za jej troskliwość, szedł dalej.

Właśnie słońce spuściło się za góry, gdy Walek stanął przed bramą zameczyska. Obejrzał się dokoła i zauważył, że gmach, choć bez okien i bez drzwi, był jednak jeszcze warowny i pięknie zbudowany. Po czterech rogach wznosiły się wysokie baszty, a z prawego boku rozciągał się piękny taras, pod którym były prawdopodobnie lochy podziemne.

Walek przeżegnał się, wszedł do wielkiej sieni, wyłożonej kamieniem, a że już mrok zapadał, zapalił latarkę. Ze światłem w ręku obszedł wszystkie komnaty i korytarze na dole, a nawet na piętrze, i wybrał sobie na parterze wielką, sklepioną salę, w której znajdował się staroświecki, marmurowy komin. Poznosił tam drzewo i rozpałił ogień.

Kiedy jasny płomień smolnych dREW oswiecił ściany, ujrzał Walek pod oknem jakąś ławę.

— Oho, będę miał na czym siedzieć—pomyślał sobie. — Ale gdy podszedł do ściany, przekonał się, że to nie była ława, tylko warsztat kołodziejski (widocznie jakiś mieszkaniec zamczyska musiał się przed laty tym rzemiosłem zajmować).

Walek, nie tracąc fantazji, przyciągnął warsztat przed komin i zasiadł na kobylicy bardzo wygodnie, a że był porządnie głodny, napił się piwa i zjadł kromkę chleba i kawał kiełbasy.

Strach jakoś do jego duszy nie miał przystępu; Walek patrzył w ogień, a nawet raz po raz oglądał się po sali.

Tymczasem zapadła noc ciemna, i to naprawdę ciemna, bez gwiazd i księżyca. Walek dokładał drewek na komin, lecz miłe ciepło, w połączeniu z piwem, tak go jakoś rozmarzyło, że zaczął się kiwać, kiwać, aż wreszcie na dobre zasnął.

Jak długo spał tego sam nie wiedział; zbudził go dopiero jakiś straszny łoskot. Zerwał się z siedzenia, przetarł oczy, serce mu zabiło młotem, lecz mimo to nie stracił przytomności i rzucił kilka polan na żarzące się jeszcze węgle.

Suche drzewo zapaliło się w okamgnieniu i jasne światło oblało salę.



— Wszelki duch Pana Boga chwali — szepnął Walek i trwożliwie obejrzał się poza siebie.

Po kamiennej posadzce biegały z błyskawiczną szybkością jakieś maleńkie istotki, za nimi uganiały się w ciągłych susach dwa wielkie, czarne stworzenia, a pod sufitem latały, uderzając ciągle o ściany, jakieś skrzydlate duchy... Hałas przytym i szum był tak wielki, że chłopcu włosy na głowie dębem stały—zaczął dygotać jak w febrze...

W pierwszej chwili zwrócił się ku drzwiom, i już, już miał uciekać z zakłętego zamku; ale stała mu w myśli jego blada matka, zgłodniałe rodzeństwo, skłopotany ojciec... przypomniał sobie, że jeżeli wytrwa, będzie mógł posłać do domu aż piętnaście rubli!

Zwrócił się więc napowrót do komina i postanowił zostać, zwłaszcza, że duchy—oprócz wielkiego hałasu—nie mu złego nie robiły...

Usiadł znowu na warsztacie, słuchał, słuchał, a wreszcie schwycił w rękę smolne łuczywo i obrócił się ku sali. Wtedy ujrzał wielkiego nietoperza tuż przy swej głowie, a dwa czarne koty, z oczami świecącymi jak rozżarzone węgle, przyskoczyły do worka, w którym znajdował się chleb i kielbasa.

— Te koty to z pewnością djabły... a u mojej głowy lata czarownica w postaci nietoperza... — pomyślał Walek.

— Może one głodne? może chcą jeść? dam im trochę kielbasy...

I nie namyślając się długo, sięgnął do worka—wydobył kielbasę i rzucił po kawałku obydwom kotom.

Djabły widać już oddawna nie kosztowały

takich przysmaków, bo zjadły kiełbasę co do odrobiny, a potem usiadły około Walka na warsztacie i zaczęły z zadowoleniem mrużyć, jak prawdziwe koty. W sali uciszyło się znacznie; małe stworzenia—pewnie pokutujące dusze—pochowały się gdzieś po dziurach, a tylko czarownice-nietoperze uwijały się jeszcze pod sufitem. Walek, widząc, że djabły nie robią mu nic złego i że nawet mu się łaszą, jak gdyby prosiły jeszcze o kawałek kiełbasy, ukroił każdemu sporą porcję, a potem nabrał takiej odwagi, że zapalił świeżą drzazgę i trzymając ją w ręku, przeszedł się po sali.

Więcej czarnych djabłów nie było, ale za to dusze pokutujące igrały jeszcze po kątach, a wszystkie w postaci... szczurów i myszy.

Tymczasem na dworze zerwał się wiatr, rozpedził chmury, a noc czerwcową przeszła bardzo prędko i niebawem świtać zaczęło.

Świtanie w tej porze nie bywa długie. Zajaśniała zorza na niebie, a poza nią wychyliło się powoli słońce.

Blask dzienny wlał zupełną otuchę do duszy Walka.

— A więc to już dzień! a więc już po strachach!—zawołał z radością. — Więc tak łatwo przyszło mi zarobić tyle pieniędzy! O, moja kochana matko! aby ci ulżyć w cierpieniu, podjąłbym się chętnie daleko trudniejszych rzeczy...

Ogień dogasał na kominie, a czarne djabły najezione i ogrzane drzemały, mrużąc z ukontentowaniem. Walek spojrzał na nie.

— A może to nie żadne duchy, tylko naprawdę koty! I bez dalszego namysłu złapał jednego i dru-



Maja Drużyna



...a potem usiadły obok Walka na warsztacie...

giego, wpakował do próżnego worka i zawiązał szczelnie. Kociska miauczały, rzucały się w worku, lecz Walek nie myślał ich oswobadzać. Chciał on owego stracha pokazać dziedzicowi i wszystkim ludziom we wsi.

Kiedy już było zupełnie jasno w zamku, zaczął go Walek obchodzić, wszedł nawet na wieżę, nie spodziewając się, że znajdzie tam siedzibę... czarownic. Wisiały one, poprzyczepiane tylnymi nogami do muru i spały smacznie po nocnej pohulance.

— To wy tu jesteście! — zawołał Walek — i to w tak licznej gromadzie! I was, kochane czarowniczki, muszę panu pokazać.

Odczepił więc kilka nietoperzy i schował je do kieszeni. Potym zeszedł do sali, zabrał worek z kotami i wyruszył do dworu.

Na gościńcu stała ciekawa karczmarka. Ze wschodem słońca wybiegła już na drogę i patrzyła bez ustanku w stronę zamczyska. Zdawało jej się nawet, że widziała, jak djabeł z Walkiem wyleciał kominem i byłaby niezawodnie tę nowinę niebawem w całej wsi rozpowiedziała, aż tu Walek zdrów i cały stanął przed nią.

— A co! mam djabłów w worku, a czarownice w kieszeni! — zawołał, śmiejąc się.

Kobieta ze strachem i niedowierzaniem spojrzała na niego, lecz Walek nie tłumaczył się jaśniej, tylko poszedł prosto do dworu.

Kiedy rozeszła się pogłoska, że Walek przyniósł djabła z zamczyska, zbiegli się na dziedziniec i stangret, i włodarz, i szafarka, i dziewczki, wracające od doju, słowem cała kuchnia i całe podwórze. Z wioski



także zebrało się dużo ciekawych, bo karczmarka już i tam zaniósła tę wielką nowinę.

Młody dziedzic już nie spał; wstawał on wczesnie do gospodarstwa, był bowiem pracowity i czynny.

Zobaczywszy przez okno Walka, wśród otaczającej go gromady, wyszedł przede dwór.

Dużo było szczerego śmiechu, gdy Walek wyjął czarownice z kieszeni i pokazał djabłów w worku. Pan poklepał go po ramieniu i powiedział:

— Zuch z ciebie, chłopcze, tęgi zuch!

Poczym zawołał go do kancelarji, wypłacił obiecane pieniądze i wypytał, skąd pochodzi, co go w te strony sprowadziło, czy ma rodziców, rodzeństwo i gdzie się zamierza udać.

Walek opowiedział długo i szeroko smutną dołę swoich rodziców, kończąc temi słowy:

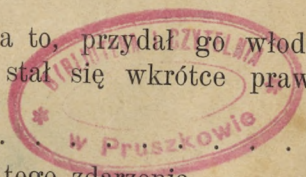
— Pieniądze posłę do domu, a sam chciałbym tutaj zostać i gdyby mię pan wziął do służby, byłbym bardzo szczęśliwy.

Dziedzic zgodził się na to, przydał go włodarzowi do pomocy i Walek stał się wkrótce prawą ręką Filipa.

Kilka lat upłynęło od tego zdarzenia.

W wyrestaurowanym zamku mieszka obecnie dziedzic z młodą swą żoną, a czarownice i pokutujące dusze nie mają już do niego przystępu. Kotów tylko kilka uwija się i to nieodrodnym potomków, schwytyanych przez Walka, djabłów.

Po śmierci starego Filipa został Walek włodarzem, a że jest sprytny i pracowity, przepowiadają mu wszyscy, że niedługo zostanie ekonomem na osobnym folwarku.



Matka jego dotychczas żyje i jest zupełnie zdrowa. Ojcu lepiej się powodzi i biedy u Maciejów nie ma, dzięki nie tylko owym pieniądzom, ale zwłaszcza temu, że Walenty swego młodszego brata, Jaśka, kazał wyuczyć w dużym mieście różnych robót ze słomy. W zimie więc z ojcem szyje kożuchy, a latem plecie słomianki, koszyki, króbeczki, a nawet kapelusze.

Tak więc zuch Walenty swoją odwagą wybaWił z nędzy rodzinę, a wielu ludzi przekonał, że żadnych strachów nie ma na świecie. Jedna tylko karczmarka utrzymuje podobno dotąd, że Walek nie złapał kotów, tylko rzeczywistych djabłów i że rychlej czy później odpłacą mu oni za swoje.

Opowiada to niemal co niedziela zebranej w karczmie gromadzie, ale nierozsądnej kobiecie nikt nie wierzy.

